Swiadectwa nawrócen **Spływ kajakowy**

Nigdy nie byłem na prawdziwym spływie kajakowym. Oczywiście do czasu, a konkretnie do 20



sierpnia 2000 r. To był wielki dzień w moim życiu, naprawdę niezapomniany. Wszystko zaczęło się od tego, że Andrzej Klimaszewski, który gościł od jakiegoś czasu w Kołobrzegu, miał ochotę zabrać na jakąś wyprawę koleżankę, którą niedawno poznał. Wybór padł na spływ kajakowy z Zatonia - poprzez jezioro Lubie i rzekę Drawę. Miało nas być 12 osób (jest tam tylko 6 kajaków), ale ostatecznie pojechała nas dziewiątka.

Z Kołobrzegu wyjechaliśmy po 10.00 (w pierwszej wersji mieliśmy ruszyć o 7.00). W Zatoniu byliśmy ok. 12.00. Przed wyruszeniem w trasę zjedliśmy co nieco, a potem zabraliśmy się za wiosła i w drogę. Jako pierwszy wystartował Andrzej z Asią, potem Majka z Agnieszką, Artur z Dianą, Piotrek Kurek ze mną (Tomkiem), a na końcu Jacek (on płynął sam). Jackowi dopisywał zarówno humor, jak i nie narzekał na brak pary w rękach. Śpiewał szanty, a ponadto w pewnym momencie tak przyśpieszył, że wszyscy mieli problem, aby go dogonić.

Po jakimś czasie przeprawiliśmy się przez Lubie i wpłynęliśmy w Drawę. Na początku była spokojna i nie zapowiadało się, że będą jakieś niespodzianki (Piotrek powiedział mi jednak, że zaraz rzeczka zrobi się ciekawsza). W zasadzie słyszałem o tym, że osoby które płynęły Drawą zazwyczaj miały różne przygody, włącznie z wywrotkami. Tak też się stało - niebawem nurt rzeki zrobił się żwawszy. Piotrek i ja ciągnęliśmy z tyłu, niemniej zgodnie stwierdziliśmy, że trzeba by wysunąć się na prowadzenie. Tak też zrobiliśmy. Po kolei zaczęliśmy wyprzedzać: Artura, dziewczyny i w końcu wyprzedziliśmy Asię i Andrzeja.

W pewnym momencie rzeka zrobiła się naprawdę niebezpieczna. Dziewczyny kilka razy wpadły

w przybrzeżne trzciny, ponieważ nie udało im się na czas wymanewrować kajaka. W pewnym momencie na rzece czekała na nas przeszkoda - zwalone drzewo. Piotrek płynął już tą trasą, więc wiedział jak się zachować. Gdybym znalazł się w takiej sytuacji sam, na pewno nie wiedziałbym co zrobić. Cały szkopuł był tym, aby pokonać tę przeszkodę przepływając pod drzewem - nie było to jednak takie proste, ponieważ trzeba było schować się do kajaka i prześlizgnąć się jakoś przez niewielką szczelinę. Ufff, mieliśmy szczęście. Po pokonaniu przeszkody poczekaliśmy na pozostałe osoby. Gdy oni przeprawili się przez te drzewo, popłynęliśmy dalej. Po drodze mieliśmy chyba jeszcze dwie podobne przeszkody.

Po kilkunastu minutach rzeka uspokoiła się i przed nami było kilka godzin spokojnego płynięcia piękną rzeką i podziwianie cudownej przyrody. Ale nic z tego, zachciało nam się wyścigów. Zaczęła się zaciekła rywalizacja między Asią i Andrzejem, a nami. Rywalizacja ta trwała dosyć długo i poważnie nas wyczerpała. Wymijaliśmy się na zmianę. Siły były bardzo wyrównane. Niemniej w pewnym momencie stwierdziłem z Piotrkiem, że to nie ma sensu, bo są tak piękne widoki, że szkoda tracić ekstra chwil na takie wariactwo. Poddaliśmy się ku wyraźnej uciesze Andrzeja.



Ok. 17.00 znaleźliśmy się przy starym, drewnianym moście. Tu postanowiliśmy poczekać na pozostałą piątkę. Chyba nie za bardzo podobało im się to, że zostawiliśmy ich tak mocno w tyle. I zdaje się mieli rację - nie było to zbyt mądre. Przecież im mogło coś się przydarzyć po drodze.... Zwłaszcza, że Diana ma zaledwie 12 lat. W każdym razie po chwili wybaczyli nam ten wybryk. Ukoronowaniem tego była wspólna kąpiel w rzeczce przy drewnianym moście. Woda była dosyć ciepła, a dzień był słoneczny. Po takiej zaprawie kąpiel ta była przyjemnym orzeźwieniem (szkoda, że nie wszyscy dali się namówić na tę kąpiel).

Po kulkudziesięciuminutowej przerwie ruszyliśmy w dalszą drogę. Ten odcinek dla mnie był najcięższy. Odczuwałem silny ból w krzyżu, a ręce powoli odmawiały posłuszeństwa. Pół biedy,

gdy płynie się wartką rzeką, gorzej jest, gdy rzeka wlecze się jak ślimak, a tak właśnie było pod koniec. Co gorsze, ostatni odcinek wyprawy to płynięcie przez jeziora. To nie było takie zabawne. W każdym razie ja z Piotrkiem wlokliśmy się na końcu.

Na miejsce docelowe przypłynęliśmy po 18.00, a byliśmy umówieni na transport kajaków na 18.30. Później okazało się, że ten człowiek przyjedzie o 19.00. Nie byłoby problemu z czekaniem, gdyby nie to, że mieliśmy przemoczone ubrania i zrobiło się już trochę chłodno. Co ciekawe, pozostałe osoby zdecydowały, że jeszcze sobie popływają po jeziorze - Piotrek i ja mieliśmy inne zdanie. Piotrek wyszedł na brzeg, a ja dryfowałem przy brzegu. W końcu wybiła 19.00. Wszyscy wyciągnęli kajaki na brzeg, ale człowieka nie było. Ja chodziłem przy brzegu zesztywniały i zziębnięty. Próbowałem zrobić jakieś ćwiczenia, aby się rozgrzać, ale nie było to takie proste. Tuż przy brzegu był zrobiony taki sympatyczny parking, z miejscem na ognisko. Pomyślałem, że chyba nic innego nam nie pozostaje, jak przygotować ognisko. Nie mieliśmy ani papieru, ani zapałek. W każdym razie znalazł się i papier i zapalniczka (od człowieka, który przyjechał po kajaki). Tak na marginesie - myśleliśmy, że przyjedzie jakimś busem, a on przyjechał samochodem osobowym. Nic innego nam nie pozostało jak tylko czekać na powrót Andrzeja i Artura. Minęła godzina, a ich nie było. W sumie czekaliśmy na nich chyba półtorej godziny, w każdym razie czas przy ognisku minął nam całkiem przyjemnie. Co jakiś czas zatrzymywali się na parkingu jacyś ludzie, z którymi Jacek rozpoczynał w każdym przypadku rozmowę. Dzięki ognisku udało nam się wysuszyć ubrania, a oprócz tego oczywiście rozgrzaliśmy się. Nasi “kierowcy” przyjechali przed 22.00, w momencie, gdy zaczął padać deszcz. W Kołobrzegu byliśmy ok. 23.30. To był wspaniały dzień. Namęczyliśmy się przy wiosłowaniu co nie miara, ale nikt nie żałował tego wyjazdu - wręcz przeciwnie - ja zaraziłem się ideą spływów kajakowych chyba na całe życie.

